

dr Tomasz Kozłowski
Katedra Edukacji i Nowych Mediów
Wydział Nauk Społecznych
Collegium Da Vinci, Poznań

Olać wszystko. Tylko nie mówcie moim dzieciom
Internauta w dyskusji na YouTube
nt. dawnych festiwali punkrockowych

Opór bierny czy mierny?

Przeciwko czemu się buntować w społeczeństwie nadmiaru? A jednak obawy narastają. Nie są jeszcze spisane, brak im wymownego manifestu. Ale ich przejawy można dostrzec. Pytanie tylko, na ile rozleniwiony konsument jest w stanie doprowadzić do zmiany status quo? Być może ostatnią deską ratunku jest nie tyle bunt, co totalna ironia?

Rock umarł, śpiewał o tym już dawno Marilyn Manson. Komu jak komu, ale jemu w tej kwestii chyba można wierzyć. Sam zresztą zgadzam się z tym twierdzeniem. Muzyka rockowa od samego początku oscyluje w całości między tylko kilkoma zasadniczymi funkcjami, największe przeboje jest w stanie zgrubsza odtworzyć byle amator, schematy utworów, a nawet całych albumów, są przewidywalne, funkcjonują z powodzeniem jako jakaś idea, całkowicie po z a nieugiętą rzeczywistością pięciolinii, co oznacza, że można je grać jak bądź, a i tak każdy pozna. Formuła musiała się prędzej czy później wyczerpać. Instrumentarium praktycznie zaprzestało twórczej ewolucji jeszcze w latach siedemdziesiątych, warstwę melodyczną opisują ledwie dwie najprostsze skale, przy czym dokonania nurtów *art* i *psychedelic* można potraktować jako wybitne, ale jednak, aberracje. Wybitne z uwagi głównie na romanse z wątkami umacniającej się w tamtych latach elektroniki. Sam jednak rock jest gatunkiem bezwstydnie prostym, w rzeczy samej, dziecinny, typowym dla nieoszlifowanych gustów. To rozrośnięte, co prawda do rozmiarów potężnej tradycji, ale wciąż dźwiękowe przedszkole. Brzmi brutalnie? To może inaczej: tak jest od niedawna. Bo rock to muzyka buntu, to dźwięki, które programowo mają stawać okoniem. A z dzisiejszym buntem bywa już różnie. Dlatego, owszem, umarł, ale bynajmniej nie śmiercią naturalną. Rock wyzionął ducha powoli, choć tragicznie, w starciu z wygodą.

Pogo wczoraj i dziś

Oglądałem niedawno dokument o historii festiwalu w Jarocinie. I jak nie przepadam za samym rockiem, tak kolejny raz utwierdziłem się w przekonaniu, że odmiana *punk* po dziś dzień brzmi szczególnie autentycznie, chyba jako ta najbardziej ideowo zaangażowana. I snując takie rozważania, z dużym sentymentem przyglądałem się szarobrudnemu tłumowi, który pogował do standardów Siekiery, Dezertera, Farben Lehre i, jak w znanym hymnie, „spijał słowa” z ust wokalisty. Na twarzach uczestników widać było, prócz tanecznej ekstazy, błogość, radość z bycia wolnym, ale też przekorę wobec działań totalitarnego systemu.

Czy można by to określić świadomym, obywatelskim nieposłuszeństwem? Zapewne. W ślad za tymi zdjęciami podążały przebitki w festiwalu, którego edycje odbywały się już całkiem niedawno. Muzyka niby ta sama, ale klimat... chyba już nie ten. Wcześniejszą wolność od święta zastąpiło święto samowolki. Nie lubię takiego mentorsko-zrzedliwego tonu, ale ogarnęła mnie jakaś przedziwna nostalgia, gdy obok rzeki piwa, płynęła rzeka

wymiocin i wulgaryzmów. Ideowy opór został zastąpiony trochę już chyba bezideowym. I czy jest to wciąż opór? Jeśli tak, to na jakich prawach i przeciwko czemu?

W młodej części społeczeństwa narasta jakieś przedziwne napięcie. Nie wiem, czy można je nazwać już buntem, ale z pewnością nie przyczynia się ono – jak ujęliby to zapewne pozytywni psychologowie – do powiększenia dobrostanu. Jest ono dyskretne, choć doskonale zauważalne, choćby pod postacią internetowych memów, które gloryfikują czasy minione i jednocześnie piętnują terażniejszość a dokładniej – niedaleką, czyhającą już, przyszłość, utożsamianą z dorosłością, by nie powiedzieć – z p r z e g r a n ą na całej linii. To również symptomatyczne zjawisko. Start w dorosłe życie jeszcze kilkanaście lat temu był swoistym Świętym Graalem młodości. Dziś jest już smutną, odwiekaną, ale jednak koniecznością. Przykładowo, trafiłem niedawno na zdjęcie pokiereszowanej zjeżdżalni. A dokładniej – osieroconej drabinki prowadzącej na małą platformę. Ot i cała konstrukcja. Żadnej części „jezdnej”. Podpis pod zdjęciem oznajmiał: symulator życiowego startu po ukończeniu studiów. To tylko jeden drobny przykład.

Przebudzenie do rezygnacji

Żeby nie być gołosłownym wspomnę o zaledwie dwóch „nurtach”, ale za to bardzo wyrazistych. Pierwszy z nich to memy spod znaku „jeśli to pamiętasz, to miałeś fantastyczne (w oryginale termin znacznie dobitniejszy) dzieciństwo”. Cały dowcip polega na tym, że w cyklu tym prezentowane są zdjęcia do bólu prozaicznych przedmiotów. Pojawiają się tam np.: rower, kapsle i karty z piłkarzami, kasety magnetofonowe, bohaterowie wieczorynek, trzepak, planszowe gry, proca – tylko tyle i aż tyle. Niedawno można było natrafić również na zdjęcie... psa (na marginesie: nieuleczalni pesymiści pokusili się również o zamieszczenie flagi Unii Europejskiej). Drugi cykl to „gimby nie znajo” ew. „gimby nie pamiętajo” (pis. oryg.) – który ma zbliżoną, humorystyczno-sentymentalną wymowę. I w tym przypadku przedstawiane są rzeczy powszechnie znane nieco starszej niż tytułowe gimby generacji, dziś natomiast masowo zapominane. Przykład to zdjęcie ołówka i kasety magnetofonowej. Bo „gimby nie pamiętajo”, co te dwa przedmioty mogą mieć ze sobą wspólnego. W memach tych kryje się nostalgia za czasem minionym połączona z nieskrywanym politowaniem dla najmłodszego pokolenia, kohorty wykorzenionej, ofiar etyki nadmiaru i estetyki przesytu. To również podprogowy przekaz mówiący: ta grupa nic nie wie, niczego nie umie. Ta grupa nic nie robi, niczego nie dokona. I jak żyć?

Z drugiej strony zauważalne są treści będące rozszerzeniem tematyki „zjeżdżalni bez zjazdu”, a więc konfrontacji z dorosłością. Młodzi dorośli odczuwają autentyczny strach. Koniec studiów postrzegany jest jako śmierć wieku niewinności, rezygnacja z marzeń, kwintesencja obaw. Co ciekawe, memy tego rodzaju wcale nie były rozpowszechnione jeszcze kilka lat temu, zupełnie tak, jakby pokolenie internautów nagle doświadczyło stosownego przebudzenia, bo gdzie te obawy były wcześniej? To niepokojący paradoks, że w – teoretycznie – wolnym kraju, będącym bądź co bądź częścią kultury zachodniej, wejście w dorosłość kojarzy się z jakąś formą rezygnacji, tym bardziej, że konsumpcyjny system wartości stara się zapewniać nas, że nie musimy, nie powinniśmy rezygnować z niczego.

Ucieczka do konsumpcji

Puśćmy na moment wodze fantazji: być może to poczucie rezygnacji jest jakimś pokrętnym elementem rozwoju jednostki zakodowanym w takim, a nie innym kulturowym otoczeniu? Być może powinna się tym zająć psychologia społeczna? Kto wie,

może kulturowy kontekst Zachodu doby przełomu wieków w jakiś sposób pielęgnuje ten paradoksalny stan, ową konsumpcyjną melancholię?

W takim ujęciu można tu dostrzec pewne podobieństwa ze zjawiskiem opisywanym jeszcze w latach 40-tych przez Ericha Fromma. W „Ucieczce od wolności” kreślił on interesującą wizję społecznych i historycznych uwarunkowań pchających jednostki w stronę autorytaryzmów, z nazizmem na czele. Kto wie, być może i dziś mamy do czynienia z ucieczką od wolności, ale na nieco innych zasadach? O ile w wizji Fromma społeczne masy zwracały się w swych niepokojach w stronę określonego ustroju politycznego, o tyle dziś poddają się one określonemu porządkowi *e k o n o m i c z n e m u*, byle by tylko nie wypaść z rynku, przy czym układ sił politycznych ewidentnie traci na znaczeniu, o ile tylko na konsumpcję zezwala. Młodzi drżą o swój byt, ale przede wszystkim w wymiarze ekonomicznym. Nie walczą już o prawo do życia, Maslowowskie górnoletnie rojenia o samorealizacji też już przechodzą do lamusa. Dziś nadrzędnym prawem jest nie tyle prawo do życia (wszak to jest gwarantowane i niedyskutowalne), ile prawo konsumowania, co prawdopodobnie w Baumanowskim światopoglądzie może stanowić jedno i to samo.

Nawet społeczne ruchy w rodzaju Anonymous, którzy na swoich sztandarach wypisują, że to rząd powinien bać się społeczeństwa, a nie na odwrót, stanowią dziś raczej niegroźną aberrację, *e t a p* sprzeciwu, przez który przechodzi i z którym utożsamia się dorastający konsument. Z jednej strony Anonymous chcą walczyć o swobody obywatelskie, z drugiej skwapliwie rozpowszechniają hasła w rodzaju *You call it piracy. We call it freedom* – ty nazwiesz to piractwem, my – wolnością. I takie epifenomeny buntu mogą już zastanawiać i niepokoić.

Hipis popełnia błąd

Przytomni zauważają: bunt był zawsze, rezygnacja zeń – również. Interesujące studium konsumpcyjnej ucieczki od wolności stanowi obraz Sama Mendesa „Revolutionary Road”, przedstawiający perypetie amerykańskiego małżeństwa osadzone w latach 50-tych ubiegłego wieku. Znudzona spokojnym, na wskroś konformistycznym życiem (a po części znudzona również sobą) para podejmuje decyzję o przeprowadzce ze Stanów do Paryża. Dochodzi do wniosku, że ich patologia wymaga zastosowania drastycznych metod. Małżeństwo Wheelerów zaczyna wierzyć, że się uda i opłaci, mimo że całe otoczenie wymownie stuka się w czoło. Determinacja po pewnym czasie jednak ustępuje, marzenia konfrontowane są z pozornie niewzruszoną rzeczywistością, małżonkowie rezygnują, decydują się na powrót do swojej klatki, co w końcu prowadzi do tragedii. Ich bunt jest jednak bardzo wyraźny, głośny, dotyczący ludzi w sile wieku, zupełnie jakby tęsknoty za innym życiem dręczyły ich już przez długie dekady. Wygoda i spokój amerykańskich suburbiów jest dla nich na dłuższą metę nie do zniesienia, choć ostatecznie gotowi są je zaakceptować. Maslowowska, platoniczna samorealizacja wciąż pobrzmiewa w nich silnie, choć ostatecznie przegrywa z obawą przed zbyt drastyczną zmianą.

Wheelerowie ponoszą klęskę, ale ich potrzeby, zdaniem Mendesa typowe dla większości klasy średniej, znajdują przecież ujście paręnaście lat później za sprawą dzieci-kwiatów i ich masowego hajdu. Dramat z Revolutionary Road w końcu poprowadzi do prawdziwej, mimo wszystko oczyszczającej, rewolucji. Oczywiście, po pewnym czasie wielu hipisów i tak powciska się w garniaki, być może nawet część z nich będzie zadawać sobie pytanie jak absolwent z dowcipu, który marzył o życiu wędrowca, może nawet żebraka, za to człowieka wolnego, nieprzywiązanego żadną własnością, nieskrępowanego wyścigiem szczurów. Ów po latach spogląda z balkonu swojego hotelu na swoje sztuczne wyspy, zacumowany jacht i, popijając Dom Perignon, zapytuje się retorycznie: gdzie

popęłniłem błąd? Wielu hipisów pokończyło właśnie tak, ale przynajmniej – tak sędzę – zakuci w krawaty dawni uczestnicy Woodstock mogli wracać pamięcią do tych czasów i wspominać je z rozrzewnieniem, niczym forumowicz, zapewne dawny jarociński punk, którego słowa zamieściłem jako motto tegoż tekstu. Co przeżył, to jego. Był taki czas, że faktycznie „olewał wszystko”, więcej, wierzył, że tak właśnie trzeba. Ale dziś podskórnice czuje, że mówić o tym jakby już nie wypada, bo wdrożenie podobnych ideałów w życie przekreśli wszystko: „tylko nie mówcie moim dzieciom”. Łatwo to już było.

Odnoszę wrażenie, że jeszcze trzy, cztery dekady temu taka nad-pokoleniowa cenzura nie miałyby uzasadnienia. Może się mylę, ale nie doszukałem się echa takich postaw choćby w kinie moralnego niepokoju. Tło konfliktów międzypokoleniowych było tam bardzo wyraziste, nie nosiło w sobie mimo to znamion takiego rodzaju hipokryzji. Wygląda na to, że porządek hiper-kapitalizmu generuje zupełnie nowe, równie trudne dylematy. Być może post-industrialny porządek wypracował swoje własne, strukturalne metody do kanalizowania różnych rewolucyjnych nastrojów? Konsumpcja, rozleniwienie, ucieczka w rozrywkę, permanentne poczucie braku stabilizacji połączone z roztopieniem się dawnych i obecnych autorytetów – być może wszystkie te elementy prowadzą do niespotykanej wcześniej stagnacji nastrojów zapewniając rządzącym względną spokój?

Stabilizacja mała, mniejsza i najmniejsza

Pierwsze poważne rysy na marmurze pojawiły się chyba wraz z bankructwem Lehman Brothers, które zapoczątkowało wieloletni ogólnoświatowy kryzys. Wówczas szybko okazało się, że zachodnia gospodarcza potęga to kolos na glinianych nogach, że stabilizacja jest mirażem, a pieniądze wciąż potrafią świetnie parować i to w zastraszającym tempie. Wysypały się na ulice zdziwione i rozczarowane tłumy, choć przecież każdy student ekonomii wie, że po latach hossy i pompowania baniek musi nastąpić krach. Tamte wydarzenia chyba na dobre zaszczepiły w ludziach przekonanie, że „łatwo to już było”, a teraz zacznie się dokręcanie śruby, które *de facto* trwa jeszcze do dziś. Dokręcana śruba wynalazła śmieciowe umowy i zapewniła żywną niszę agencjom pracy tymczasowej. A tymże agencjom – mięso armatnie w postaci absolwentów studiów, pleniących się masami, jak szarańcza. Jest powód do buntu i rezygnacji?

Mówi się, że o ile pokolenie urodzone w latach 80-tych marzyło o małej stabilizacji wyrażonej kredytem hipotecznym, o tyle millenialsi swoją stabilizację sytuują daleko niżej: marzeniem o etacie. Wracając do hierarchii Masłowa, etat przeewoluował dziś do potrzeby podstawowej, niczym sen i bezpieczeństwo. Konstytuuje samoocenę jednostki. A skoro tak, nikt już nie marzy o buncie. Bunt zarezerwowany jest – co ciekawe – nie dla tych gorzej, a lepiej sytuowanych. To o nich pisze się reportaże, które krążą niczym barwne legendy w prasie dla aspirującej klasy średniej: korporacyjni wyjadacze porzucają oto wygodne życie w loftach i ruszają w głąsę, między rozpadające się chaty, na stałe.

Nie powiem nic odkrywczego, jeśli stwierdzę, że w dzisiejszych czasach nie brak jest okazji do buntu. Podobnie nie będzie odkrywczym stwierdzeniem, że na demonstracjach KOD-u, czarnych poniedziałkach itd. młodzież wcale nie jest najliczniejszą grupą. Najbardziej zasmucające jednak jest to, że owe okazje do buntu jakoś w ostatnim czasie przycichły. Nie mówię już nawet o tym, że partia rządząca wzięła na wstrzymanie i po prostu przetrzymała okupowanie sali sejmowej przez opozycję. Nagle jakoś głośne z początku manifestacje Kodziarzy rozmyły się w ostatnich tygodniach. Wszystko pocichło, społeczeństwo się przyzwyczaiło, ludziom się opatrzyło. Kryzys wokół Trybunału Konstytucyjnego stał się sprawą niemal że przebrzmiałą, pomijając fakt, że protestowała i tak stosunkowo niewielka część, bo większość albo sprawy nie rozumiała, albo nie było to dla niej ważne, albo jedno i drugie. Opór, na jaki wciąż stać niektóre grupy pędzony jest

raczej jakąś osobliwą mechaniką konwulsji: pojawia się temat, który wywołuje od kilku do kilkunastu dreszczy, nerwowych szarpnięć, te wstrząsają opinią publiczną raz, czy drugi, ale potem brak im już rozpędu, konsekwencji, nie mówiąc już o braku struktury. Zupełnie jak było z pamiętnym „pokoleniem JP2”, które powspominało, pozapalało zniczy, pośpiewało „Barke”, a po dwóch, trzech rocznicach śmierci Wojtyły przepadło bez wieści.

Dużo pary w San Escobar

Mimo wszystko, rzecz można, że w cyberświecie współczesnych młodych grup społecznych opór zaznacza się choćby w postaci „tradycyjnego” obśmiania decydentów. Taki sposób radzenia sobie z kryzysową sytuacją towarzyszył nam od zawsze. Każdy dyktator wie, że dobry humor w uciskanej grupie to bardzo zły prognostyk.

Przyznać trzeba, że wśród internautów owo obśmianie przyjmuje niekiedy formy naprawdę złożone, zasługujące na uwagę. Niektóre z nich wymagają nieprawdopodobnego wręcz współdziałania. Przykład? Wystarczy wspomnieć stosunkowo niedawną wpadkę Witolda Waszczykowskiego, zdaniem którego mamy świetne dyplomatyczne układy z nieistniejącym państwem San Escobar. Nie trzeba było czekać dłużej niż godzinę, by internet wprost zagotował się od komentarzy i memów w tym temacie. Waszczykowski natychmiast urósł do rangi jednego z większych odkrywców. Z powodzeniem brylował również w kategorii „geografia” w „Jednym z dziesięciu”, by przytoczyć jedne z pierwszych tego typu reakcji. Tego rodzaju odpowiedzi sieci są typowe. Pojawił się jednak ciekawy wyjątek. Co przykuło moją uwagę, to mapa San Escobaru ze stolicą w Santo Subito, która pojawiła się jakiś czas po całej niefortunnej aferze. Przygotowali ją profesjonalni kartografowie we współpracy z forumowiczami wszelakiej maści, którzy podsyłali propozycje nazw miast i krain geograficznych. Mapa wprost usiana jest szczegółowymi informacjami, ukazuje lokalizację setek miast i wsi, rzek, górskich łańcuchów. Możemy natrafić na takie miejscowości jak Las Dudas, Los Cremos de La Va do Vice, El Gaspacho, Esperal, Burrito Con Carne i wiele innych. Nieprawdopodobny wręcz wysiłek i onieśmielający – uważam – przykład społecznego kapitału sieci.

Można zadać pytanie: czyżbyśmy w dalszym ciągu byli „najweselszym barakiem w obozie”? Czy pokolenie wyrosłe w wolnym kraju odziedziczyło prześmiewczy styl swoich ciemionych rodziców? Niewykluczone, choć charakter owego oporu i wspólnoty śmiechu – by użyć terminu Kazimierza Żygulskiego – chyba już są nieco inne. Peerelowska wspólnota śmiechu charakteryzowała się spójnym, jasno zdefiniowanym wektorem: śmiejemy się z komunistów i nie tykamy niekwestionowanych autorytetów. Dziś natomiast ostrze ironii zamieniło się w piłę tarczową, która siecze egalitarnie, we wszystkich kierunkach. Nie będzie żadną przesadą powiedzieć, że nie ma dziś środowisk i osób całkowicie odpornych na działanie tej broni, zwłaszcza, że przyszło nam żyć w czasach medialnej wojny totalnej, która nie oszczędza nikogo i z której każdy wychodzi ciężko ranny.

Egalitarna kompromitacja

Ale skoro wszyscy są równie zagrożeni, czy ironię i humor w dalszym ciągu można nazywać bronią, albo choć metodą? Czy rzeczywiście mówimy to o jakiejś strategii oporu? A może raczej mamy do czynienia z jakąś formą metanarracji, porządku dyskursu – jak zapewne powiedzieliby skrajni konstruktywiści. Każda informacja w internecie może być komentowana, ale rzadko kiedy można natknąć się na merytoryczną dyskusję forumowiczów. Zwykle jest to wymiana ciosów, a praktycznie każdy temat staje się okazją do wyśmiania. Ponieważ żart uderza we wszystkich kierunkach, trudno jest mówić, by

przybliżał nas do istotnej zmiany *status quo*. Dowcip nie oszczędza PiSu, ale i pozostałych ugrupowań, jest doskonale ponadpartyjny. Podkopuje wizerunek tak Jarosława Kaczyńskiego, jak i Donalda Tuska. Najdrobniejsza wpadka po którejkolwiek stronie sceny politycznej jest natychmiast podłapana i humorystycznie wyeksploatowana. Po „maderowym” kryzysie w Nowoczesnej praktycznie na drugi dzień od chwili, gdy światło dzienne ujrzało pamiętne zdjęcie, na YouTube można było natrafić na alternatywne wersje piosenek disco-polo, w których to Ryszard Petru wyznawał, że oszalał „przez te oczy zielone”.

Tako rzecze cyberprzestrzeń: skompromitowani są wszyscy, po równo. Odejście od tego przekonania jest tym trudniejsze, że sposób uprawiania współczesnej polityki przeszedł do szczególnego stadium: od nadmiaru informacji do zaplanowanej dezinformacji. „Fejkowe” newsy stanowią medialny odpowiednik wojny hybrydowej i stają się równoprawną strategią komunikacyjną, skutkiem czego tym trudniej zdobyć się na zdecydowany, ukierunkowany i efektowny opór. Elity polityczne nie reprezentują już nikogo. Być może polska ponowoczesność charakteryzuje się powolnym, ale całkowitym odchodzeniem od wizji świata, w centrum którego znajdują się kwestie polityczne i przejściem do kultywowania tylko porządku ekonomicznego, koncentracji na możliwości konsumowania? W tym ujęciu polityka jest raczej dodatkiem, który – jeśli uwiera – na swój sposób należy po prostu przeczekać, aż do zmiany obozu rządzącego.

Byle do wiosny?

Cyberprzestrzeń przestaje być przestrzenią wymiany myśli, jest przestrzenią rezygnacji, próbą wykpienia, ale mimo wszystko połączoną z oddaniem pola. To wyśmiewanie, ale połączone z wycofywaniem się do (powiedzmy) bezpiecznej przestrzeni prywatnej – co zgodne jest zresztą z wizją przedstawianą w niedawnym „Newsweeku”, w jaki to sposób Polacy usiłują przezimować rządy PiSu. Problem w tym, że Polacy sprawiają wrażenie, jakby od dłuższego czasu chcieli przezimować nie tylko obecne rządy, ale wszystko inne, to co przedtem i potem – również. Przedwiośnie jednak nie nadciąga, przeciwnie, z nadejściem Donalda Trumpa zapasy na zimę szykuje już chyba pół planety.

Trudno jednak taką zapobiegawczość utożsamiać z jakąś formą oddolnej inicjatywy. Budzi to raczej skojarzenia z wyuczoną bezradnością. Jeśli zwierzę bodźcowane jest w sposób pozbawiony jakiegokolwiek logiki (otrzymuje losowo nagrody i kary, w sposób zupełnie nieskoordynowany z podejmowanymi decyzjami), z początku nie rozumie zaistniałej sytuacji, w końcu jednak poddaje się, odpuszcza. Ze zrezygnowaniem czeka na rozwój wypadków, ale nie oczekuje żadnej sensownej zmiany. Czy jesteśmy u progu takiego właśnie stanu? Być może nieskoordynowany, dogasający bunt to ostatni etap przed wyuczoną bezradnością? A może bunt doczekał się słabego PR-u z prostego powodu: jest komunikatem świadczącym o przegranej. A to najgorszy z możliwych sygnałów w świecie, który zamiast „być” woli „mieć”.